



Z nurtem Amazonki

PIONIERSKA
WYPRAWA PIOTRA
CHMIELIŃSKIEGO

JOE KANE



Szlaki ludzi ciekawych



Bezdroża

Tytuł oryginału: Running the Amazon

Copyright © 1989 by Joe Kane

This translation published by arrangement with Alfred A. Knopf,
an imprint of The Knopf Doubleday Group, a division of Random House, Inc.

Photographs copyright © 2012 by Zbigniew Bzdak/Canoandes, Inc.

Photographs copyright © 2012 by Jacek Bogucki/Canoandes, Inc.

Photographs copyright © 2012 by Piotr Chmieliński/Canoandes, Inc.

Photographs copyright © 2012 by Zygmunt Malinowski

Copyright © for the Polish edition by Helion S.A. 2012



Tłumaczenie: Maria Ciochoń

Tłumaczenie epilogu: Agata Szczygieł

Zdjęcie na okładce: Zbigniew Bzdak

Redaktor prowadzący: Agnieszka Krawczyk

Redakcja i skład: „Wzorcownia” Iwona Baturó

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: bezdroza@bezdroza.pl

<http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?beznu>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-246-4476-6



Pacyfik

Był koniec sierpnia 1985 roku. Wysoko w Andach, na południu Peru, pod rdzawym zimowym niebem posuwała się wolno stara ciężarówka marki GMC, podskakując na wyboistym pustkowiu zwanym puna. Puna przypomina księżycowy krajobraz: płaski bezdrzewny teren suchy jak pieprz, przez dziewięć miesięcy w roku smagany lodowatymi wiatrami miotającymi pył. Na horyzoncie rysują się łyse brunatne wzgórza i ostre szare wierzchołki gór. Na wysokości 4600 metrów zawartość tlenu w powietrzu jest o połowę mniejsza niż na poziomie morza i odczuwa się silne pulsowanie w skroniach. A kiedy niebo czasem rozjaśni się na chwilę, ostre promienie słońca spadają gwałtownie w dół i bezlitośnie atakują oczy.

Bezwiednie rozejrzałem się wokół i poczułem niepokój, że pakuję się w coś, czego zupełnie nie rozumiem. Było nas pięciu, przykucniętych na platformie ciężarówki. Zamierzaliśmy dokonać pierwszego w historii spływu najdłuższą rzeką świata – Amazonką – która bierze początek na południu Peru, przelewa się na północ przez Andy, a potem skręca na wschód i zmierza do Atlantyku. Chcieliśmy zobaczyć na własne oczy każdy metr jej wstęgi, długiej na 6760 kilometrów, od wypływu aż do ujścia do oceanu. Aby tego dokonać, musieliśmy najpierw znaleźć źródło rzeki, ukryte gdzieś na ponurym górskim pustkowiu. Szukając miejsca narodzin Amazonki, znajdowaliśmy tylko pył. Wiatr wyjący na punie wciskał nam go do gardeł, uszu, oczu i we wszystkie pory skóry. Nie pomagały kaszel, płucie i zaciskanie powiek. Pył wdierał się do paczek z żywnością, butelek z wodą, do naszych dusz.

Na prawo ode mnie siedział trzydziestoletni Polak, Zbigniew Bzdak. Był krępy, niedźwiedziowatym mężczyzną o łagodnych niebieskich oczach, falistej rudej brodzie i blond włosach, lekko już przereźdzonych. Bez względu na warunki, potrzeba mówienia była u niego równie silna, jak potrzeba oddychania.

– Sześć lat temu mieszkałem w Krakowie – wrzeszczał do mnie. – Studiowałem fotografię i fizykę jądrową. Nic specjalnego, ale nie narzekałem: rano kawa, po południu piwo. Pewnego dnia przyszedł w odwiedziny mój sąsiad, Piotr. Powiedział, że wybiera się do Ameryki Łacińskiej, aby pokonać kajakiem każdą dużą rzeką, jaką tam znajdzie.

Mówił o Piotrze Chmielińskim, który właśnie wtedy uzyskał dyplom magistra inżyniera na wydziale mechaniki. Wraz z dziewięcioma uczestnikami wyprawy wykombinowali od wojska polskiego siedmiotonową ciężarówkę; załadowali na nią dwadzieścia kajaków i zapas żywności na rok, po czym wsadzili to wszystko na statek.

– Statek był gotowy do wyruszenia w drogę, ale zapodział się gdzieś fotograf wyprawy – kontynuował Bzdak. – Piotr zapytał, czy byłbym tym zainteresowany.

Po dwóch tygodniach opuścili Polskę, planując powrót za sześć miesięcy. Po upływie tego czasu żaden z nich nie wrócił.

– Pierwszą rzeką, jaką spłynęliśmy, była Pescados w Meksyku. Spuściliśmy na wodę siedem kajaków i w ciągu piętnastu minut straciliśmy sześć z nich. Rzeka porwała je, ot tak, po prostu. Niezły dowcip.

Byli jednak wytrwali i pokonali ostatecznie dwadzieścia trzy rzeki, a na trzynastu z nich dokonali pierwszych w historii spływów. Terenem ich eksploracji było jedenaście krajów. Rząd Meksyku powierzył im wykonanie map sześciu niezbadanych dotąd rzek. National Geographic Society zleciło napisanie reportażu ze spływu rzeką Colca w Peru, która żłobi najgłębszy kanion na świecie. Jacques Cousteau*, planując nakręcenie filmu o Amazonce, zaprosił ich do swojego zespołu górskiego; zaproszenia jednak nie przyjęli, mieli już inne zobowiązania.

– Między wyprawą Cousteau i naszą obecną jest duża różnica – stwierdził Bzdak.

– Jaka?

– Cztery miliony dolarów. Cousteau nawet na Amazonce pije dobre wino. A my już jesteśmy spłukani.

* Jacques Cousteau – francuski badacz mórz, pisarz i producent filmowy (wszystkie przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

W 1981 roku Polacy dokonali pierwszego zarejestrowanego spływu Colcą. Gdy wrócili tam w 1983 roku na zlecenie National Geographic, zatrudnili Tima Biggsa z Republiki Południowej Afryki jako prowadzącego kajarkarza.

Trzydziestotrzyletni Biggs, mający w żyłach krew brytyjskich przodków, był o prawie dziesięć lat kajarkarzem światowej klasy. Kiedy w wielu krajach zabroniono występów reprezentantom RPA, zrezygnował z kariery sportowej. Polaków spotkał w Peru w 1981 roku. Kierował wtedy wyprawą z Afryki Południowej na niezmiernie niebezpiecznej rzece Urubamba, która przepływa pod ścianami Machu Picchu. Następnie towarzyszył Chmielińskiemu w pierwszym spływie najtrudniejszym odcinkiem rzeki Apurimac, uważanej za najdłuższy dopływ Amazonki. Później w mieście Arequipa spędził z Polakami wiele długich wieczorów na picu i tańcach. Bzdak przezwiał go wtedy Zulu.

Od tamtego czasu Biggs ożenił się, przeszedł na protestantyzm – religię swej żony – i spędzał długie wieczory na czytaniu Biblii. Chciał się ustatkować, zając pracą na farmie i wychowywaniem dzieci. Uznał jednak, że może sobie pozwolić na jeszcze jedną wyprawę. Siedział teraz na wprost mnie, z kolanami podciągniętymi pod bródkę przyciętą w stylu Abrahama Lincolna. Był niskim, muskularnym, ciemnokim szatynem o siwiejących włosach. Miał opinię odważnego człowieka, o ogromnej energii i silnej, czasem wręcz zdumiewającej woli; pokonał kiedyś samotnie ośmioosobowy zespół wiosłarski w dwunastogodzinnych regatach. Był wegetarianinem w trzecim pokoleniu, w rodzinie, która zajmowała się hodowlą bydła na ubój. Przez ostatnie dwie godziny na przekór wiatrowi grał na harmonijce ustnej jedną melodię, jaką znał – *Waltzing Matilda*; w kółko to samo, coraz szybciej i szybciej.

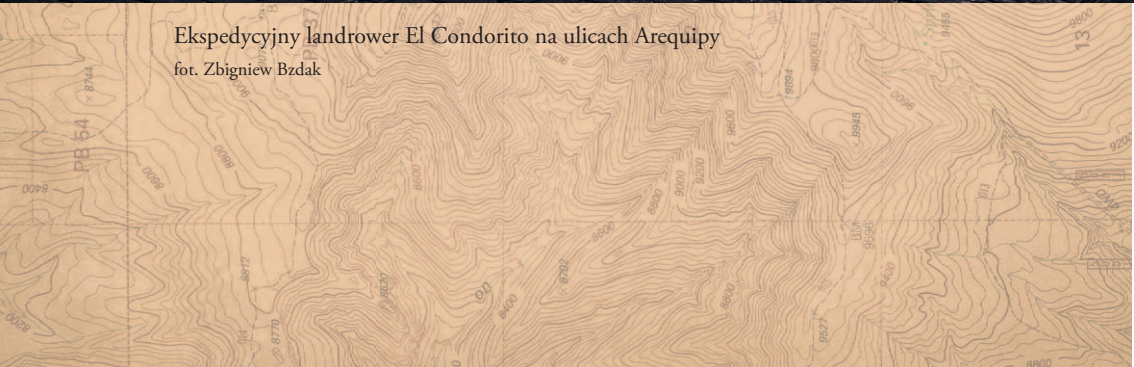
Obok Biggsa siedziała doktor Kate Durrant, szczękając z zimna zębami, i to mimo śpiwora, w który się otuliła. Szczupła trzydziestoletnia Brytyjka o pociągłej, szlachetnej twarzy, bystrych oczach i kasztanowych, z odcieniem pomarańcza, włosach przyciętych krótko w stylu punk. Podniosła teraz głowę i zmierzyła wzrokiem jałową punę.

- Chwilami nie mogę pojąć, co ja tu właściwie robię – krzyknęła.
- Cokolwiek robisz, jest to ciekawsze od twojego nudnego życia w Londynie – odkrzyknął Bzdak.
- Pewnie masz rację.

Była jedyną kobietą na tej wyprawie. Oprócz nas czterech w skład ekspedycji wchodziło jeszcze pięć mężczyzn. Przed przyjazdem do Peru Durrant zdążyła



Ekspedycyjny landrower El Condorito na ulicach Arequipy
fot. Zbigniew Bzdak



poznać tylko dwóch członków zespołu. Kiedy przyjaciele z telewizji powiedzieli jej o chęci sfilmowania pierwszego spływu Amazonką, pracowała jako lekarz ogólny w National Health Service. Przymuszając, że lekarz kobieta uczyni ich opowieść bardziej romantyczną, producenci filmu wybrali ją spośród sześćdziesięciu chętnych. Ostatecznie projekt filmu upadł, ale Durrant nie zrezygnowała z udziału w wyprawie. Ubiegły rok spędziła na poszukiwaniu lekarstw przeciwko chorobom tropikalnym i wysokościowym. Skompletowała też zestaw środków profilaktycznych i zwalczających malarię, żółtą febrę, zapalenie wątroby, wścieklicznę, gangrenę, pasożyty jelit, bóle zębów, ukąszenia jadowitych węży, biegunkę, złamania kości i cały szereg innych makabryczności, łącznie z *candirú*, maleńką rybą, która potrafi wpłynąć do cewki moczowej człowieka, a później nie może się z niej wydostać z powodu podnoszących się kolców na pokrywach skrzelowych. Jej usunięcie jest możliwe tylko chirurgicznie.

Przytulając się do mnie w poszukiwaniu ciepła, cierpiał w milczeniu Sergio Leon, dyrektor Parku Narodowego Corcovado w Kostaryce. Aby uczestniczyć w wyprawie, musiał wziąć dłuższy urlop z pracy. Był ekspertem w dziedzinie biologii tropikalnej i jedynym spośród nas, dla którego hiszpański był językiem ojczystym. Jako gorliwy wyznawca *Christian Science** niechętnie zgodził się łykać dwa razy w tygodniu tabletkę zapobiegającą malarii, na co nalegała Durrant. Sergio był niski i ciemnoskóry. Miał wystające kości policzkowe, odziedziczone po indiańskich przodkach; świetnie pasowały do nich obfite czarne wąsy, tym razem spuścizna po hiszpańskich antenatach. Mimo że było mu zimno i niewygodnie jak nigdy dotąd, jego błyszczące oczy wyrażały opanowanie charakterystyczne dla ludzi tropiku. Wyglądał na dwadzieścia pięć lat, miał czterdzieści siedem.

Byłem jedynym Amerykaninem na tej wyprawie i, jak się miałem wkrótce boleśnie przekonać, jej najbardziej naiwnym uczestnikiem. Dowodził tego, a właściwie powinien był dowodzić, fakt, że w marynarskim worku przechowywałem egzemplarz kieszonkowego wydania dzieł Conrada; świadczył też o tym mój strój. Nosilem nowy wielki myśliwski kapelusz oraz koszulę koloru khaki z epoletami; był to rodzaj półwojskowego ubioru – pokazanie się w nim w kraju rządzonym przemocą, takim jak Peru, mogło grozić śmiercią.

* *Christian Science* – scjentyści; organizacja religijna (w Polsce pod nazwą Stowarzyszenie Nauki Chrześcijańskiej), której członkowie m.in. zwalczają choroby jedynie wiarą.

Czułem się nędznie. Było mi zimno i miałem mdłości wywołane chorobą wysokościową, a w głowie chaos spowodowany bardziej paniką, niż zrozumieniem stanu, w jakim się znajdowałem. Kiedy opuszczałem Stany Zjednoczone, udając się do Peru, miałem romantyczną wizję siebie – człowieka wyrrywającego się z czegoś, czego dokładnie nie umiałby określić. Teraz, podczas jazdy wytrząsającą kości ciężarówką, zaczynałem uświadamiać sobie, jeszcze nie całkiem jasno, lecz już z przerażeniem, że zbliża się to, ku czemu zdążam, i to z dziewięciorgiem zupełnie obcych ludzi – „czarna dziura” Amazonki.

Wyprawa nie wzięła się u mnie z dzikiej miłości do Amazonki, choć tym się zakończyła. Początek był zupełnie banalny, po prostu telefon od nieznanego. Zadzwoił w jeden z tych jasnych czerwcowych dni, kiedy pogoda w San Francisco jest tak piękna, że – jak mówią – nie istnieje. Do mojego pokoju wpływało przez otwarte okno słodko-słone powietrze z zatoki. Siedziałem przy biurku i usiłowałem ukończyć artykuł do gazety – prowadziłem rodzaj rubryki dla konsumentów w „San Francisco Chronicle”. Głos w słuchawce miał gardłowe niemieckie brzmienie. Jak się później dowiedziałem, był to akcent afrikaans, języka, którym posługują się mieszkańcy Afryki Południowej wywodzący się z Holandii. Nieznajomy przedstawił się jako doktor François Odendaal. Powiedział, że zajmuje się badaniem motyli na zlecenie jednego z amerykańskich uniwersytetów, że mną jednak chciał omówić zupełnie inną sprawę, nad którą pracował przez ostatnich sześć lat. Zamierzał mianowicie jako pierwszy dokonać spływu Amazonką – najpotężniejszą ze wszystkich rzek – całą jej długością.

Nie bardzo wiedziałem, co o tym sądzić. Przecież człowiek grał już w golfa na Księżycu, czy możliwe więc, że ciągle jeszcze nie przepłynął od źródła do ujścia najślawniejszej rzeki na własnej planecie? Słuchałem dalej.

Wyprawa Odendaala miała się zacząć od wspinaczki do źródła Amazonki, które znajdowało się wysoko w Andach, na śnieżnej połaci górskiego zbocza. Tam zespół zamierzał spuścić na wodę górskie kajaki i spłynąć około 640 kilometrów w dół rzeką Apurimac, stanowiącą początek Amazonki i uznawaną za najbardziej niebezpieczną górską rzekę na świecie. Dotarłszy do miejsca, gdzie zaczyna się dżungla, kajaki górskie miały ustąpić miejsca morskim, aby rozlewiskiem Amazonki pokonać pozostałą trasę, liczącą 6120 kilometrów. Odendaal ocenił, że podróż będzie trwała cztery miesiące.

Pojawił się jednak problem. W ostatnim momencie brytyjska spółka filmowa, która miała finansować projekt, wycofała się z przedsięwzięcia. Wyprawie – mającej udać się do Ameryki Południowej za sześć tygodni – groziła katastrofa. Wspólni znajomi zasugerowali, że mógłbym pomóc zdobyć na nią fundusze, zamieszczając w prasie odpowiednią informację. Odrzekłem, że nie zajmuję się tego rodzaju działalnością i poradziłem, by Odendaal spróbował w biurze pośrednictwa prasowego. Dałem mu namiary na biuro i życzyłem szczęścia. Na tym zakończyliśmy rozmowę.

Wczesnym popołudniem ukończyłem pisanie artykułu, kupiłem sześć piw i poszedłem na plażę. Wykąpałem się w zimnym Pacyfiku i położyłem na piasku. Otworzyłem piwo. Zapadłem w błogi stan odrętwienia, który zwykle poprzedza popołudniową drzemkę. Podświadomość podsunęła mi wizję tropiku: papugi, palmy, małpy huśtające się na gałęziach. Oprzytomniałem i z niepokojem stwierdziłem, że pochłonięty jestem wyliczaniem powodów, dla których taki człowiek jak ja nie powinien wybierać się nad Amazonkę. Właśnie niedawno zamieszkałem z dziewczyną, która dopiero co ukończyła prawo. Wyglądało na to, że wkrótce się pobierzemy. Byłem dobry w swoim zawodzie i dawało mi to poczucie bezpieczeństwa, mimo że sama praca nie była nadzwyczajna.

Tak naprawdę związek z dziewczyną napawał mnie strachem, a praca w gruncie rzeczy nudziła. To właśnie stanowiło źródło „mojego niepokoju”. Po powrocie do domu zadzwoniłem do Odendaala.

– Nie patrz na psa!

Spojrzałem. Patrzyłem prosto w paciorkowe oczy bestii. Pies skoczył mi do gardła, ale uderzył kłami w szybę samochodu. François Odendaal walnął go gwałtownie pięścią.

– Strasznie mi przykro – powiedział. – Powiniennem być cię ostrzec. – Pochylił się do wnętrza samochodu i zagwizdał na skomlącego psa. – To dingo. Znalazłem go, kiedy studiowałem w Australii. Przybłąkał się z buszu, prawie zdychając z głodu. Uratowałem mu życie i od tamtego czasu jest ze mną. Nie cierpi ludzi. Wydrapałby ci oczy.

Przeraził mnie ten niewielki pies. Chudy, brzydki, o krótkiej sierści. Nawet po tym, jak oberwał od Odendaala, patrzył na mnie groźnie, a z jego gardła wydobywał

się przeciągły pomruk. Gdy zerknąłem na niego ponownie, wydał z siebie dziki warkot i kolejny raz rzucił się na szybę.

Więcej na niego nie spojrzałem. Patrzyłem natomiast na Odendaala. Byliśmy prawie w tym samym wieku – powiedział, że ma trzydziestkę – lecz wyglądał inaczej, niż sobie wyobrażałem. Był wysoki, miał przerzedzające się rude włosy i zaczątki brzuszka. Utykał, jakby jedną nogę miał zwichniętą w kostce. Zupełnie nie przypominał sportowca.

– Nie tak sobie ciebie wyobrażałem – stwierdził.

„No cóż...” – pomyślałem. Gapiłem się bezczelnie na jego stopy. Nie mogłem się powstrzymać. Były dziwnie małe w porównaniu z jego wzrostem.

– Heinemedina – wyjaśnił bez ogródek, jakby moja reakcja była tylko jedną z wielu, których już doświadczył. A potem zapytał: – Mogę ci postawić piwo?

Znajdowaliśmy się w wypoczynkowym miasteczku w Górach Skalistych w stanie Kolorado, niedaleko miejsca, gdzie Odendaal spędzał część lata, nadzorując prace w stacji badań motyli. Znaleźliśmy bar i usiedliśmy przy stoliku. Odendaal rozłożył mapę upstrzoną papuzimi barwami, jakby przeznaczoną dla uczniów szkoły podstawowej. Okazało się, że sporządziło ją peruwiańskie wojsko. Góry zaznaczono na niej jaskrawopomarańczowym kolorem, lasy spowite wiecznymi chmurami – różowym i krzykliwie żłocistym, a dżungłę, co oczywiste – tradycyjnym zielonym.

Patrzyłem, jak Odendaal rysuje niebieski wężyk, który miał oznaczać trasę wyprawy. Było to wciągające – mapy są tak kuszącym wynalazkiem. Oczarowały mnie nazwy rzek: Apacheta, Lloqueta, Hornillos, Apurimac, Ene, Tambo, Ucayali, Marañón, Solimões, Amazon. Przy ich wymawianiu język giął się zmysłowo. Ich śpiewne brzmienie wabiło.

Podobnie nęciła wyprawa, której projekt przedstawił Odendaal. Zamierzał wspiąć się na wysokie góry, spłynąć dzikimi rzekami, dokonując przynajmniej na jednej z nich dziewiczego spływu, i przeprowić się przez tereny, których nie było na mapie. W jednym z takich nieoznaczonych miejsc, zwanym czerwoną strefą, rząd Peru prowadził wyjątkowo zacieklą wojnę z Sendero Luminoso, czyli Świetlistym Szlakiem.

– To rewolucjoniści – wyjaśnił Odendaal. – Pewnie o nich słyszałeś. Co jakiś czas zabijają ludzi, także dziennikarzy. – Spojrzał na mnie i się roześmiał.

Dostęp do czerwonej strefy, objętej stanem wyjątkowym, był zamknięty. Odendaal zamierzał jednak przekraść się przez nią. Potem planował spędzić kilka tygodni w samym sercu peruwiańskiego rejonu produkcji kokainy. Przewidywał też spotkanie z egzotycznymi plemionami indiańskimi. Prestiżowe brytyjskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne już go zaprosiło na odczyty po zakończeniu wyprawy.

Odendaal zapalił papierosa i wyprostował się na krześle.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

Umówiliśmy się, że jeśli zdobędę pieniądze od wydawcy i przeznaczę je na wyprawę, Odendaal pozwoli mi wszystko opisać. Będę tak blisko zespołu, jak to tylko możliwe. Przez pierwszy miesiąc mogę podróżować ciężarówką stanowiącą zaplecze ekspedycji. Jednak po dotarciu w teren, gdzie nie ma już dróg, będę musiał przesiąść się na tratwę, łódź używaną do transportu bananów lub cokolwiek innego, co uda się zdobyć.

Nie byłem najlepszym kandydatem do tej podróży. Wprawdzie władałem hiszpańskim i miałem przyzwoitą kondycję fizyczną – przebiegałem dziennie osiem kilometrów i wykonywałem dwieście pompek – ale jeszcze nigdy w życiu nie uczestniczyłem w górskim spływie i nie pływałem dobrze. Nie byłem też typem odkrywcy. Czułem jednak, że moje życie jest niepełne: wyblakłe, pasywne, sztamkowe.

Po sześciu tygodniach od tamtego pierwszego telefonu rzuciłem pracę i pożegnałem się z dziewczyną. Z gorączką, pocąc się z powodu całej serii szczepionek zaaplikowanych mi poprzedniego wieczoru, dołączyłem do François Odendaala na lotnisku w San Francisco, gdzie wsiedliśmy do samolotu odlatującego do Limy w Peru.

Lecąc nad Meksykiem, rozmawialiśmy o wyprawie. Odendaal niepokoił się o wszystko: o samą rzekę, o stan zdrowia, o fundusze. Powodem największych obaw, od których ścisłało go w dołku, był jednak Piotr Chmieliński.

Chmieliński był współorganizatorem wyprawy. Odendaal spotkał się z nim tylko raz, lecz to wystarczyło, by ocenił go jako człowieka genialnego, ambitnego i nieustrudzonego. Pierwszy spływ Colcą sprawił, że Polak stał się znany w Peru. Pomógł mu to swobodnie pokonywać zawiłości peruwiańskiej biurokracji. Wiedział, jak nie dać sobie odebrać sprzętu na granicy, nauczył się pozyskiwać przychyłność władz uśmiechem, rozumiał wieśniaków żyjących na terenach nadrzecznych.

Odendaal bał się, że przy pierwszej nadarzającej się okazji Chmieliński będzie chciał przejąć kontrolę nad wyprawą. Już raz próbował przecież to zrobić. Kiedy Odendaalowi nie powiódł się plan kręcenia filmu, Chmieliński znalazł nowe źródło pieniędzy: przekonał do wyprawy milionera ze stanu Wyoming, który podbił amerykański rynek farbą do malowania pasów na jezdni. Chmieliński próbował wówczas zmusić Odendaala do rezygnacji z roli szefa ekspedycji, ten jednak porozumiał się z milionerem i uzyskał jego poparcie. Odendaal najchętniej wykluczyłby Polaka z udziału w wyprawie, gdyby nie to, że bardzo potrzebował go jako eksperta. Miał jednak mnóstwo obaw: w Peru Chmieliński czuł się przecież jak u siebie w domu.

Samolot podskoczył dwa razy: Lima.



Spis treści



Część pierwsza: GÓRY 7

Pacyfik 9

Colca 19

Źródło 35

Górny Apurimac 57

Czarny Kanion 77

Koniec szlaku 95

Część druga: GÓRSKIE RZEKI III

Spotkanie z Wielkim Mówcą 113

Otchłań Acobamba 127

Środkowy Apurimac 153

Dolny Apurimac – Czerwona Strefa 169

Ene 191

Tambo 205

Część trzecia: RZEKA-MORZE 219

Górna Ukajali 221

Dolna Ukajali 241

Marañón 255

Solimões 279

Amazonka 301

Pará 321

Atlantyk 335

Epilog 342

Podziękowania 345

Posłowie Piotra Chmielińskiego 347



Z nurtem Amazonki

PIONIERSKA WYPRAWA PIOTRA CHMIELIŃSKIEGO

Chmieliński zaangażował się w zadanie nie do pozazdroszczenia. Uczyl mnie obierania bezpiecznej trasy sphywu Apurimakiem, który na tym odcinku przypominał automat do gry kulkami. (...) Kiedy uczyliśmy się na pamięć startów, zwrotów i zatrzymań, które

mieliśmy wykonać, sphywając kataraktę, nasze rozmowy przebiegały mniej więcej tak:

– W porządku, Joe. Tam jest ostra skała.

– Ostra skała.

– To taki Kuba Rozpruwacz. Ściągam wiostę do siebie, ty odpychasz się, skręcamy w lewo, ustawiamy się prosto, następnie cała naprzód, wiostujemy z całych sił. Trzeba ją ominąć, aby ujść z życiem. Skała jest zabójcza, ale to dla nas żaden problem.

– Zabójcza skała. Żaden problem.

Przetłumaczona na kilkanaście języków i zaliczona do setki największych podróżniczych bestsellerów wszech czasów opowieść o jednej z najgłośniejszych ekspedycji XX wieku. Przedstawia historyczną wyprawę Piotra Chmielińskiego, pierwszego człowieka, i jak dotąd jedyne, który przepłynął Amazonkę od źródeł do ujścia, kilometr po kilometr. Została napisana przez „kronikarza” wyprawy, Joe Kane’a – jedyne z członków międzynarodowej ekipy, który dotrzymał kroku niestrudzonemu podróżnikowi podczas trwających niemal sześć miesięcy zmagani z nieokiełznanym żywiołem.

Dowodzeni przez Polaka bohaterowie zmierzli się z największą rzeką globu, przez sto siedemdziesiąt dni przemierzając górskie bezdroża, niedostępne kaniony i słynną, amazońską dżunglę, na przemian w pontonie i w kajaku. *Z nurtem Amazonki. Pionierska wyprawa Piotra Chmielińskiego* to pełna liryzmu opowieść o przyjaźni, ambicji i pragnieniu pokonania własnych ograniczeń, której dopełnieniem są fantastyczne zdjęcia Zbigniewa Bzdaka.

Publikacja
polecana przez:



Nr katalogowy: 7994



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
● <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
● <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 49,00 zł

ISBN 978-83-246-4476-6



9 788324 644766 >